

Prof. Władysław Turski wstąpił do mnie do KBI na rozmowę, w której przypomnieliśmy sobie lata szkolne u „Górala”. Potem powiedział mi, że on nie chce wtrącać się do tego co robię, ponieważ na informatyce gospodarczej nie zna się. Poprosił mnie jednak o pomoc w dofinansowaniu jego wyjazdów na Zachód, na co zgodziłem się bez zmróżenia oka. Turski też zachęca do rozmowy z Kuleszą i podejmuje się pomóc w doprowadzeniu do niej. Po pewnym czasie telefonuje do mnie, że Kulesza nie chce spotkać się ze mną.

W tym stanie rzeczy spotykam się z ppłk. Janickim, z-cą ppłk. Kuleszy. Janicki też namawia mnie do spotkania z Kuleszą i nawet ustala jej termin na 6 września ale i tym razem nic z tego nie wychodzi. W tym czasie Kulesza spotyka się bardzo często z prof. Andrzejem Straszakiem, z-cą kierownika Wydziału Nauki KC oraz z Józefem Śniecińskim, z którym planuje ataki na KBI. Ataki te będzie prowadził w prasie Śnieciński a w kulisach Straszak. Jednak po spotkaniu w KC na temat minikomputera K 202, juncie wojskowej zaczyna grunt palić się pod nogami. Doprowadzili w międzyczasie do takiego stanu, że mają przeciw sobie całą załogę IMM, załogę ELWRO i wielu dyrektorów w MERZE.

W tej sytuacji dochodzi do spotkania doc. Kuleszy, prof. Leona Łukaszewicza ze mną w kawiarni pod „Arkadami” na MDM. Serdecznościom nie ma końca. Nic z tego jednak nie wynika. Nie wiąże nas biznes a tylko próba zawiązania „układu” w socjalistycznej gospodarce. Interes informatyki krajowej nie liczy się u ppłk. Kuleszy tylko to, na ile mogę wzmocnić jego pozycję w rozgrywce o stanowisko wiceministra i w rozgrywce z Hukiem. Byłem jednak za małym partnerem dla doc. Kuleszy, więc nic dobrego z naszej rozmowy nie wyszło.

## K 202 w KC

Na tle niejasnej sytuacji w przemysłowej produkcji komputerów było jedno pozytywne przedsięwzięcie mgr. inż. Jacka Karpińskiego, który jakby na własną rękę produkował mini komputery w PRL takie, jakie właśnie były potrzebne. Niestety zrobił to za wcześnie, w III RP byłby multimilionerem, a w PRL był uznany za „wroga reżimu.” W odróżnieniu od „gabinetowych informatyków”, których czytelnik bez trudu rozróżni na stronach tych wspomnień, Jacek był bardzo zdolnym inżynierem elektronikiem, którego „gabinetem” było laboratorium elektroniczne. Konstruowanie komputerów rozpoczął od maszyn analogowych. W latach 1960. skonstruował pierwszy komputer KAR-65, czym bardzo naraził się prof. St. Kielanowi, wówczas pełnomocnikowi Rządu d/s ETO, bowiem ten nie wiedział, co z tym fantem zrobić.

W latach 1970. Karpiński skonstruował minikomputer K 202 w ramach resortu Łączności, gdyż przemysł sprzętu informatycznego odmówił mu pomocy. Pomoc Ministerstwa Łączności polegała na przydzieleniu kilkunastu etatów, małego budżetu oraz pomieszczeń w kilku wynajętych mieszkaniach. W tej sytuacji Jacek nawiązał współpracę z angielską firmą *Data Loop*, która dostarczała mu obwody scalone i dewizy na zakup niektórych podzespołów. Firma liczyła, że

po uruchomieniu produkcji w Polsce będzie miała prawa w sprzedaży *K 202* na zachodnim rynku. W tej sytuacji Zjednoczenie MERA nie mogło udawać, że *K 202* nie ma w Polsce i odgórnymi decyzjami przejęło w swój skład grupę specjalistów Karpińskiego. Przydzielono ich do fabryki MERY we Włochach pod Warszawą, która odąd miała zająć się produkcją minikomputerów.

Jacek ostro przystąpił do przemysłowego uruchomienia produkcji modularnego *K 202* w 1971 r. Modularność ta polegała na tym, że *K 202* można było składać z modułów tak, że mógł to być albo bardzo mały i tani komputer albo duży, coś na podobieństwo komputera *IBM 400*, który opanował rynek zbytu w... 10 lat potem. Oczywiście specjaliści z MERY nie mogli wybaczyć Jackowi owej modularności i groźby, że *K 202* może dorównać czy to *R 30* czy *ODRZE 1305*. Stąd wypowiedzieli wojnę Karpińskiemu i postanowili go zniszczyć. Do owej „wojny” Huk wysłał nie byle jaki skład, bo złożony z fachowców od „wojny” pułkowników Wojska Polskiego: Kuleszę i Janickiego.

Myśmy bardzo mocno popierali w KBI produkcję *K 202*, ponieważ był to minikomputer bardzo tani, taki jaki był potrzebny polskim przedsiębiorstwom. Osobiście przydzieliłem parę razy spory fundusz dewiz na rozruch produkcji *K 202*, ale „dziwnym” zbiegiem okoliczności dewizy te „ginęły” gdzieś po administracyjnej drodze, za sprawą wymienionych pułkowników z wojska. Karpiński, jak przystało na rasowego producenta sprzętu osobiście zabiegał o kontrakty z użytkownikami, m.in. z FSO na Żeraniu, ale gdy tylko zawarł kontrakt i pochwalił się nim, zaraz ktoś z MERY (nierzadko był to sam Huk) udawał się do owego użytkownika i powodował zerwanie kontraktu. Ponieważ Jacek miał wielkiego zwolennika w red. Stefanie Bratkowskim, przeto ten w prasie piętnował MERĘ za sabotowanie rozwoju *K 202*. Dolewało to tylko oliwy do ognia, ale innej rady nie było na ten otwarty sabotaż.

Władze patrzyły na ten jeszcze jeden wewnętrzny konflikt MERY z największym zdenerwowaniem. Zapewne MERA broniła się tym, że produkcja *K 202* grozi zerwaniem współpracy z ZSRR, ale tak naprawdę nikt w to nie wierzył. Był to bowiem już zgrany argument. W dniu 4 września odbyła się narada w gmachu KC z udziałem przedstawicieli najwyższych władz, w składzie Franciszek Szlachcic, członek Biura Politycznego i sekretarz KC, bardzo życzliwy Jackowi i mnie, Stanisław Kowalczyk, sekretarz KC, Tadeusz Wrzaszczyk, minister Przemysłu Maszynowego, Jan Kaczmarek, minister Nauki, Aleksander Kopeć, wiceminister Przemysłu Maszynowego, Ryszard Farfał, instruktor KC, Jacek Karpiński, Jerzy Huk, Roman Kulesza, Jerzy Janicki, dyrektorzy z MERY, Antoni Bossowski, dyrektor resortowego Centrum Obliczeniowego MSW, zaufany Szlachcica, red. Stefan Bratkowski no i ja. Żeby zebrać taki skład bardzo zajętych działaczy narada odbyła się o godzinie 10 wieczorem. Już ten fakt wskazuje na powagę całej sytuacji.

Spotkanie zaczęło się od polemiki Kuleszy z Bratkowskim i Kulesza zaczął się czepiać sformułowań Stefana. Janicki zgubił się w tak wysokim gronie działaczy i zaczął tytułować Jacka po angielsku przez „mister Karpiński”. Tak moc-

no na sercu leżała Podpułkownikowi „nielegalna” współpraca Konstruktora z angielską firmą. Sekretarz Kowalczyk zdegrustowany stylem wypowiedzi Kuleszy i Janickiego zagroził przerwaniem narady. Wtedy Huk, świetny gracz polityczny, od razu zapewnił najwyższe władze, że MERA zrobi wszystko, aby *K 202* stał się sukcesem. Ni stąd ni zowąd Kopec zaczął namawiać do skoncentrowania się na produkcji *RIAD-ów*. Widocznie chciał zatrzeć wrażenie, że po cichu popiera wrocławski komputer ODRA. Po naradzie zostałem w ścisłym gronie sekretarzy i min. Kaczmarka, gdzie zapadła decyzja odsunięcia Kopcia od nadzorowania informatyki w Ministerstwie Przemysłu Maszynowego. Niestety nie doszło do tego, zainteresowany wkrótce został ministrem tego resortu, a potem i wicepremierem. Potem z racji zajmowania tych stanowisk, Kopec nie poprawił sytuacji w MERZE, za to spowodował zbudowanie stadionu tenisowego MERY na Ochocie. Grał nieźle w tenisa i zbudował dla siebie stadion. Chyba jest to jedna z bardziej udanych decyzji Ministra. Opinia ta jest jednak skażona faktem, że autor niniejszych wspomnień jest sam tenisistą.

Po naradzie sytuacja wokół *K 202* nie poprawiła się. Dyrektorzy MERY nie umieli nic stworzyć, ale za to świetnie wiedzieli, jak kogoś zniszczyć. Paradoks gospodarki centralnie planowanej polegał na tym, że bardzo często nie realizowano centralnych planów. Raz je zmieniała Moskwa, a raz „socjalistyczni menadżerowie,” którzy mocno czuli się w siodle i realizowali swoje „widzi misię”. MERA zamiast ułatwić pracę Karpińskiemu, zaczęła pod byle błachym pozorem, pracę mu utrudniać. Jacek, świetny konstruktor, a nie gracz gabinetowy, wpadał w coraz to częściej pozostawiane sidła. W różnych listach i anonimach (sterowanych) wysuwane są przeciw niemu najcięższe zarzuty, że jest małwersantem, a nawet zdrajcą ojczyzny. Ciągłe są to plotki, nikogo nie można złapać za rękę i nikomu udowodnić złej woli. Znają się na wykańczaniu ludzi, zresztą tą samą bronią wykańczają mnie.

Tymczasem MERA prowadzi intensywne rozmowy z amerykańską firmą Litton na temat zakupu licencji na minikomputer i także wdraża prace rozwojowe nad krajowym minikomputerem MOMIK (pomimo Karpińskiego). Dublowanie prac i kosztów dochodzi do zenitu. Stefan Bratkowski stara się piórem pomóc Jackowi, ale junta wojskowa zakłada cenzurę na pisanie o *K 202*. W telewizji odbywa się pokaz filmu dokumentalnego o *K 202*, przyjeżdża ze mną obejrzeć go min. Kaczmarek. Nikogo z MERY nie ma na wstępnym wyświetlaniu. Z KC przyjechał prof. Straszak i instruktor inż. Skierski. Film podoba się zebrany, ale do nadania w programie telewizji nie dochodzi, „ktoś” zadbał o cenzurę. Straszak wygłasza znamienne tyradę, że „dziś w każdym kraju produkuje się minikomputery na masową skalę”. Odpowiadam mu, że „istnieje w wielu krajach dziesiątki typów minikomputerów, ale żaden z nich nie jest produkowany na masową skalę”. Przytakuje mi min. Kaczmarek, który nie cierpi Straszaka. Wypowiedź Straszaka wskazuje, że ma mętne wyobrażenie o sytuacji w świecie w zakresie produkcji minikomputerów.

W 1974 r. zapadła decyzja przerwania prac nad *K 202*. Wicepremier Wrzaszek oferuje Karpińskiemu pracę w branży obrabiarek. Pyta się go, czy ma jakieś odznaczenie, na co Karpiński odpowiada, „Tak, mam Krzyż Walecznych z Powstania Warszawskiego.” Płk Orłowski z PESELa przyczyni się jeszcze do tego, że Jacek zostaje посаdzony na kilka dni do więzienia, za niedopatrzenie zwrotu dokumentu opisującego system PESEL. Orłowski chce być na linii i do szykan innych dokłada swoje. O tym incydencie Orłowski powiedział mi, gdy przekraczaliśmy Mur Berliński, pełen fortyfikacji. Odpowiedziałem mu: „Też ma Pan czym się chwalić”. W rezultacie Karpiński zostaje zwolniony z MERY i udaje się na Mazury, gdzie zakłada hodowlę kur. Reportaż o tym popularnym konstruktorze komputerów, a teraz hodowcy kur nadaje w kinach Kronika Filmowa przed każdym filmem. W latach 1980. Jacek, wykończony w PRL emigruje do Szwajcarii, gdzie próbuje kontynuować prace nad *K 202*, ale Szwajcaria nie była krajem nastawionym na rozwój sprzętu informatycznego. Jacek jak każdy emigrant miał ograniczone pole manewru. Karpiński nie dbał o stopnie naukowe, był „tylko” magistrem inżynierem, ale utytułowani „docenci i profesorowie”, pseudo-informatycy czuli się w kontakcie z nim nieswojo, ponieważ nie rozumieli o czym mówi, stąd unikali go i nie lubili, gdyż w jego obecności zdawali sobie sprawę ze swojej niefachowości, robili zatem wszystko by go wyeliminować, aby tym samym mieć prostsze życie. Karpiński w konstrukcji komputerów, a ja w ich zastosowaniach byliśmy wyzwaniem dla ówczesnej kliki, która sięgnęła lub chciała sięgnąć po władzę w informatyce krajowej. Byliśmy autentycznymi fachowcami i kochaliśmy swój zawód. Kiedy nas wykończono i potem na różnych sympozjach siadaliśmy obok siebie, inni śmiali się, że stanowimy „wyzwanie” dla otoczenia. A myśmy wtedy humorystycznie rozmawiali o założeniu spółdzielni pracy „próżny trud”, chociaż nie było nam wcale do śmiechu.

Dylemat Karpińskiego polegał na tym, że musiał pokonywać opory ponad jego siły, już samo konstruowanie minikomputerów stwarzało opory techniczne i organizacyjne w PRL, a co dopiero trudności opisane powyżej. Gdyby produkcja komputerów mogła być wówczas w prywatnych rękach, wtedy Karpiński byłby jak najbardziej człowiekiem sukcesu. Rzecz jasna to nie Jacek nie sprawdził się, lecz Dyktatura PRL nie sprawdziła się. Konstruktorów tej klasy, co Jacek było kilku w PRL, w samolotach „nie sprawdził się” inż. Sołtyk, a w obrabiarkach inż. Nowak, o którym grano sztukę w Studenckim Teatrze Satyrycznym. Karpiński doczekał się książki o sobie „Lot ku Ziemi” pióra, Romana Bratnego, znanego przecież z pozytywnego stosunku do PRL. Ale cóż Jackowi po książce? PRL zmarnowało mu zawodowe życie, a Polsce odebrano szansę na świetny minikomputer.

Gdy mowa tu o Bratnym, to raz wystąpiłem w popularnym programie telewizyjnym „Wszystko za wszystko” na temat oceny twórczości tego pisarza. Program prowadził Krzysztof Teodor Toeplitz, a obok mnie jeszcze twórczość pisarza oceniał red. Tadeusz Drewnowski z „Polityki”. Dla urozmaicenia programu śpiewał Andrzej Dąbrowski moją ulubioną wówczas piosenkę „Do zakochania

jeden krok". Wtórował mu Bogdan Łazuka swym przebojem „Jutro, dzisiaj zawsze będę kochał cię tak.” Tematy owych piosenek bardzo mi wówczas odpowiadały.

Po programie zadzwoniła do mnie red. Irena Dziedzic zapraszając mnie do jej programu telewizyjnego „Tele Echo”. Zaprosiła mnie na kawę do ekskluzywnej kawiarni SPATiF-u w al. Ujazdowskich, aby omówić szczegóły rozmowy w programie. Ponieważ moja popularność nie podobała się m. in. Kaczmarkowi, zaproponowałem pani Redaktor, że w programie mogę (ze względów formalnych) wystąpić razem z doc. Kuleszą i prof. Łukaszewiczem (był to wynik mojego paktu „przyjaźni” z przemysłem z kawiarni „Pod Arkadami”). Oczywiście red. Dziedzic nie zgodziła się na takiego dziwoląga w jej programie, gdzie rozmowy prowadziła tylko z jedną osobą, z określonych względów zasługującej na takie wyróżnienie. Kiedyś w wywiadzie Irena Dziedzic powiedziała, że nikt jej nie odmówił udziału w programie. Nie była zupełnie szczerą. Oczywiście bardzo chciałem wystąpić w tym programie, ale dla dobra informatyki tego nie zrobiłem. Oczywiście moje „poświęcenie” nie miało żadnego wpływu na owe „dobro”.

### **Rola Prof. Straszaka**

Moc konfliktów w krajowej informatyce wynikało z tego, że w Polsce zdawało sobie sprawę, że „komputer” wprowadza nową fazę cywilizacji i zajmowanie się komputerami gwarantowało dobry status społeczny, a także popularność. W czasach PRL nie było prywatnych biznesmenów, z wyjątkiem tzw. „badylarzy”, stąd z braku biznesowej motywacji, bardzo wysoko w cenie stał „status” w organizacjach gospodarczych czy społeczno-politycznych, nie mówiąc o tym, że w ślad za tym „statusem” szły różnego rodzaju przywileje, które miały wymiar materialny, a więc ułatwiały życie.

Istniały zasadniczo dwie drogi robienia kariery w PRL. Pierwsza droga polegała na żmudnym awansowaniu w ramach wykonywanej specjalizacji, lecz awans kończył się na stanowisku kierownika sekcji, czy pracowni albo działu. Bardzo rzadko fachowiec zostawał dyrektorem czy wiceministrem. Ten szczybel stanowisk był zarezerwowany dla tzw. nomenklatury, której członkowie byli zaufanymi Partii a ta dbała o dobre posady dla nich. Oczywiście były wyjątki od tej zasady, kiedy „walczący” fachowiec został zauważony i nagrodzony wysokim stanowiskiem. Oczywiście wyjątki tylko potwierdzają regułę. Do takich wyjątków np. zaliczała się architekt Halina Skibniewska, która walczyła w prasie i na zjazdach o budowanie osiedli mieszkaniowych dla ludzi, którzy mają potrzeby na zieleni i usługi. Jej aktywizm zaprowadził panią Halinę aż do stanowiska wicemarszałka Sejmu, co prawda niemego. Innym przykładem były moje awanse, które były wynikiem mojej „walki” o zastosowania informatyki w gospodarce, a fachowców — informatyków gospodarczych wówczas nie było, więc powierzano mi różne zadania organizacyjne, ale do czasu.



Drugą, bardzo szybką drogą robienia kariery było popracowanie kilka lat w aparacie etatowym PZPR w różnych komitetach: dzielnicowych, wojewódzkich czy najlepiej w centralnym. Po takim stażu, zainteresowany zostawał umieszczony w tzw. „karuzeli dyrektorskiej” i „w teczce” zostawał przyniesiony na wysokie dyrektorskie czy ministerialne stanowiska. Jeżeli jeszcze do tego dysponował stopniem naukowym albo wykształceniem w ZSRR to dla takiego oportunisty droga awansu była otwarta. Ludzie sprytni, często mniej utalentowani wybierali właśnie tę drugą drogę kariery.

W latach 1970. sformowała się grupa automatyków, wykształconych w ZSRR, która znalazła zatrudnienie w Instytucie Automatyki PAN, gdzie szybko wyprodukowała prace doktorskie, habilitacyjne i awanse profesorskie. Dobrze opanowanie matematyki (z ZSRR), wzajemne opiniowanie prac, magiczny szyld „PAN” ułatwiło owe awanse. Owi automatycy zajmowali się automatyką teoretyczną, która polegała na tworzeniu np. m.in. teorii wielkich systemów na stronach od góry do dołu zapisanych wzorami matematycznymi. Oczywiście teorie tego typu są bardzo potrzebne w nauce i technice, pod warunkiem, że są weryfikowane w praktyce. Niestety automatycy z PAN stronili od praktycznych zastosowań swych teorii. Stąd w Polsce mieliśmy „świetne” teorie i bardzo mało zastosowań automatyki, z wyjątkiem może zastosowań wychodzących ze środowiska skupionego wokół prof. Stefana Węgrzyna na Politechnice Śląskiej oraz od specjalistów-praktyków zatrudnionych w niektórych instytutach resortowych.

Owa grupa automatyków PAN-owskich uznała, że nie po to skończyła studia w ZSRR, aby zajmować się wdrożeniami automatyki w przemyśle i usługach. Najbardziej aktywnym wśród nich był młody, jak na profesora — 40 letni Andrzej Straszak, absolwent Moskiewskiego Instytutu Energetycznego (1959), który w partii był już od 1957 r. Kiedy przepada w wyborach na I sekretarza POP w PAN i przechodzi w 1969 r. do pracy w Wydziale Nauki KC, którego zostaje z-cą kierownika. Analiza dat jego zaangażowania politycznego prowadzi do ciekawych spostrzeżeń, że po politycznym kryzysie w 1956 r. młody naukowiec uznaje, że czas wstąpić do partii, a po następnym kryzysie politycznym w 1968 r. podejmuje decyzję wzmocnienia etatowych szeregów partii. Uszanowałbym jego polityczne poglądy, ale ze znajomości z nim wnoszę, że nie miał żadnych politycznych poglądów, a tym bardziej ich nie miał na temat polityki rozwoju informatyki, którą zaczął nadzorować z pozycji KC. Jest bardzo znamienne, że ten utytułowany działacz polityczny i rzekomy naukowiec nie napisał żadnego artykułu ani nie udzielił wywiadu na temat rozwoju informatyki w Polsce, w którym by objaśnił nam ludziom apolitycznym w czym rzecz.

Mało tego prof. Straszak miał nie tylko trudności w pisaniu, ale także w płynnym wysławianiu się po polsku. Był mężczyzną dużej postury, tzn. z nadwagą, który gdy mówił, to miało się wrażenie, że ma kluski w ustach, zaczynał zdanie i stękając „eee”, miał trudności z jego skończeniem. Raz wziąłem z nim udział w spotkaniu z Anthony Ralstonem, prezesem *American Machinery Association* (około 70 tys. członków-informatyków). Skręcałem się ze wstydu za Straszaka,

kiedy ten mówił o polskiej informatyce, nie mając o jej szczegółach pojęcia, a co gorsze, mówił tak fatalnie po angielsku, że nasz rozmówca nie wiedział o co mu chodzi. Zresztą gdyby nawet dobrze mówił po angielsku to i tak mówiłby mętnie, bo był to jego styl mówienia po polsku. Po latach, pod prysznicem na kortach Legii, spytałem mojego partnera Andrzeja Werblana, byłego zwierzchnika Straszaka, a wówczas gdy z nim grywałem, sekretarza KC i członka Biura Politycznego, co sądzi o Straszaku. Powiedział mi, „Panie Andrzeju pomyliłem się co do niego, to dureń”. Przyznałem mu rację i powiedziałem, że Straszak przyczynił się do rozłożenia informatyki. „Nie dziwię się”, padła odpowiedź.

Andrzej Straszak nie po to poszedł pracować do KC, by tam doczekać się emerytury, jego celem było stanowisko ministerialne w informatyce. Aby je otrzymać musiał mnie zdyskredytować, dlatego zaczął zwalczać Program Rozwoju Informatyki, jaki ze Zbigniewem Gackowskim wdrażaliśmy. Tak swym destrukcyjnym działaniem obrzydził wszystkim informatykę, że kiedy odeszliśmy z niej, nie było godnego stanowiska dla niego, zresztą gdyby nawet było, to nie otrzymałby nominacji.

Minister Kaczmarek musiał liczyć się z utytułowanym Straszakiem, który nadzorował Ministerstwo Nauki i przychodził na jego kolegia. Kiedy poskarżyłem się Kaczmarkowi na Straszaka, ten mi powiedział: „Pan to kopie ludzi w kostkę, a Straszaka nie trzeba kopać tylko „pokochać”. I w tym momencie objął mnie i mocno zaczął ścisnąć aż do utraty tchu. Zrozumiałem jego strategię wobec Straszaka. Podobną stosowałem na kortach, kiedy daję pograć przeciwnikowi, aby ten zaczął robić błędy. Kaczmarek nie dał Straszakowi żadnego stanowiska ministerialnego, Wydział Nauki KC długo przetrzymywał nominację mgr. inż. Tadeusza Podgórskiego na stanowisko wiceministra Nauki, aby je dać Straszakowi. Kaczmarek odmówił i zgodził się, aby Straszak zorganizował tylko Instytut Organizacji i Kierownictwa (IOK), którego został dyrektorem w latach 1973-76.

Na stanowisku dyrektora Instytutu Organizacji i Kierowania, minister Kaczmarek ugotował Straszaka. Był to zupełnie nowy instytut, kierowany przez automatyka, który nie miał pojęcia o nauce organizacji i kierowania, a chciał w nim skopiować KBI, ZETO i OBRI, ale mu to nie wyszło. Ponieważ Straszak nie dawał sobie rady w kierowaniu owym Instytutem, więc go szybko rozwiązano i podzielono na dwa instytuty; Instytut Badań Systemowych PAN, kierowany przez prof. Romana Kulikowskiego i Instytut Biocybernetyki i Biotechniki PAN. Do tego pierwszego instytutu skierowano prof. Straszaka, ale nie powierzając mu żadnego stanowiska kierowniczego, nawet kierownika sekcji. I tak skończyła się jego kariera.

Kiedy widział, że pali mu się grunt pod nogami „uciekł” do finansowanego przez ZSRR i KDL (w tym Polskę) Międzynarodowego Instytutu Stosowanej Analizy Systemowej w Laxemburgu w Austrii, gdzie dorabiał sobie w latach 1976-78. Niektórzy z nas podejrzewali, że Instytut ten zajmował się szpiegostwem naukowym na Zachodzie na rzecz Sowietów.

W tym czasie ukazuje się tłumaczenie „Szklanej góry organizacji” wykonane przez Stefana Bratkowskiego, który w dopiskach podaje przykłady z polskiej łączki. Straszak przypiski te bierze do siebie i wywiera wpływ na Jana Burschego, dyrektora OBRI, gdzie Stefan pracuje, aby go zwolnił z pracy. W międzyczasie Straszak odbiera OBRI sterowanie problemem węzłowym zastosowań informatyki i rozbija zakłady i pracownie przenosząc co lepszych pracowników do Instytutu Organizacji i Kierowania.

Straszaka popierał w Wydziale Nauki KC, prof. Jan Rychlewski, który urodził się w Moskwie w latach 1930. i pochodził z rodziny o komunistycznych tradycjach. Dzięki partyjnej karierze już w wieku 26 lat był profesorem nadzwyczajnym a w wieku 39 lat był członkiem korespondentem PAN.

Oczywiście Straszak nie działał sam. Jego prawą ręką był inny automatyk z PAN a może cybernetyk prof. Juliusz Kulikowski, który skończył Moskiewską Wyższą Szkołę Techniczną im. Baumana w 1959 r., a do partii wstąpił już w 1954 r. kiedy miał zaledwie 23 lata. Żył w cieniu kuzyna prof. Romana Kulikowskiego, cieszącego się międzynarodowym autorytetem w automatyce teoretycznej, której to dziedziny ściśle się trzymał. Natomiast Juliusz Kulikowski testował kilka dziedzin i w żadnej z nich nie wywarł ani naukowego ani projektowego piętna. Kiedy informatyka zaczęła być modna przyssał się do informatyki i zaczął mienić się „profesorem-informatykiem”. Juliusz Kulikowski bardzo zazdrościł mi innowacji w informatyce i bardzo mocno je zwalczał, nawet w prasie, o czym będę pisał w rozdziale o KSI. Na początku wciągnąłem Kulikowskiego do różnych komisji, w tym międzynarodowych, ale po pewnym czasie odmówił współpracy jakby nie chciał identyfikować się z projektami KBI. Stopniowo, podgryzając KBI, doprowadził do jego rozwiązania i utworzenia Sekretariatu Komitetu Informatyki przy Prezesie Rady Ministrów. W latach 1976-79 pełnił upragnioną funkcję dyrektora tego sekretariatu, który obsługiwał ów Komitet, który zdaje się tylko raz się zebrał. Na zakończenie swej kariery, kiedy zdyskredytował informatykę gospodarczą, zajął się jeszcze jedną dyscypliną — biocybernetyką.

Straszak do gry o swój awans w informatyce, który oparł na zwalczaniu planów KBI wciągnął oprócz prof. J. Kulikowskiego jeszcze doc. Kuleszę, doc. Janickiego, prof. Turskiego oraz dyr. Huka z MERY, płk. Orłowskiego z PESELa. W ich cieniu, ale za ich przyzwoleniem lub z ich inicjatywy bruździli działacze z ZETO; Matwin (były szef ZMP), Bajkowski, Tylman, Wiśniewski i jego przyszła żona Krystyna Hajduk-Popławska z KBI oraz Selbirak też z KBI. Saperem od podkładania min, czyli od pisania paszkwili był Śnieciński (z-ca Mijala z Albanii), wyrzucony z KBI a przytulony do Stołecznego Ośrodka ETO (SOETO). Ich upór, godny lepszej sprawy, dezorientował władze, które miały już dość informatyków. Wprawdzie zdawali sobie sprawę, że tak Gackowski, jak i ja jesteśmy w porządku, ale wkrótce i nas mieli dość, bo zamiast chwały przynosiliśmy im kłopoty, których na tak wysokich stanowiskach mieli w bród.



W niniejszych wspomnieniach piszę negatywnie o osobach z tytułami naukowymi, ale przez to samo nie chciałbym zrobić wrażenia, że jestem wrogiem naukowców. Sam jestem profesorem zwyczajnym amerykańskiego uniwersytetu, a w 1971 r. miałem więcej prac i książek z informatyki opublikowanych aniżeli łączny dorobek wszystkich tu wymienionych osób. A wówczas nie byłem ani nawet docentem tylko zwykłym doktorem. Byłem wówczas i naukowcem, ale także a chyba przede wszystkim i praktykującym informatykiem, którego zawodowe argumenty były zwalczane przez utytułowanych ludzi przy pomocy paszkwili, anonimów, intryg, pomówień a nie naukowej czy zawodowej dyskusji. Stąd bierze się u mnie tak ostra krytyka wymienionych „profesorów i docentów”. Mam bardzo duży szacunek do nauki, ale rzetelnej. Niestety w PRL wielu sprytnych ludzi zajęło się nauką, gdyż można było dzięki jej wysokiemu statusowi być pasażerem na ciele społeczeństwa.

### Odprężenie i Nixon w Warszawie

Amerykanie nie chcieli wojny w Europie i zaproponowali odprężenie Moskwy, wyrażone m.in. udzieleniem wysokich pożyczek. W drodze do Moskwy a potem do Pekinu, Prezydent Richard Nixon zatrzymał się najpierw w Warszawie. W ambasadzie Stanów Zjednoczonych, gdzie mnie od czasu do czasu zapraszano na party, chciano bym osobiście przedstawił Nixonowi nasz Plan Rozwoju Informatyki oraz plan zakupu superkomputera z USA. Amerykanie uważali, że w tej „egzotycznej” podróży Prezydenta należy pokazać mu, że w Polsce podejmuje się projekty „na miarę” Ameryki. Oczywiście polska strona nie dopuściła, aby Targowski, tak niski rangą przedstawiciel państwowej administracji usiadł do stołu i zreferował coś samemu prezydentowi Stanów Zjednoczonych.

Amerykanie jednak włączyli do swej delegacji doradcę prezydenta d/s nauki i techniki — dr. Davisa, który był sam informatykiem. Już w Warszawie, odwiedził Krajowe Biuro Informatyki i zamiast planowanych 45 minut spędził aż 2 godziny na rozmowie z dr. Gackowskim i ze mną. Rozmowa była prowadzona płynnie po angielsku, a gość nie mógł nadziwić się, że KBI zorganizowaliśmy na wzór amerykańskiego Pentagonu. Rozmawialiśmy, jak informatycy pełni entuzjazmu, których nigdy nie dzieliła Zimna Wojna a wręcz przeciwnie łączyła nas wspólna dyscyplina i szczerzy podziw dla amerykańskiej informatyki. Mam wrażenie, że od tej wizyty gospodarczy wywiad amerykański zaczął bacznie śledzić, co my robimy w informatyce w Polsce. Ku zdziwieniu czytelnika stwierdzę, że potem Stany Zjednoczone przejęły dwa nasze pomysły i zaczęły szeroko je propagować w latach 1980-90. Będę o tym pisał w rozdziale na temat KSI.

W 1972 r. przygotowywaliśmy się do obchodów 500. rocznicy urodzin Mikołaja Kopernika w 1973 r. i z tej okazji chcieliśmy sprowadzić do Polski superkomputer CDC Cyber 72 dla polskich placówek naukowych. W tym czasie obowiązywało embargo na eksport tej klasy sprzętu do Bloku Sowieckiego. Amerykanie wiedzieli, co znaczy dla nas rocznica Kopernika i ofiarowali za darmo wielki uży-



wany komputer II generacji IBM 7080. Cena tego komputera, gdy był nowy wynosiła kilkanaście milionów dol. Ale ja z Gackowskim odmówiliśmy owego podarunku, który przysporzyłby więcej kłopotu niż pożytku, ponieważ wymagał długiego cyklu szkolenia i troskliwej konserwacji sprzętu, który wyszedł już z użytku. Uparliśmy się przy zakupie czegoś naprawdę nowoczesnego a jak nowoczesnego niech świadczy fakt, że Amerykanie nie zgodzili się sprzedać słabszego komputera CDC 6600 dla francuskiej *force de frappe*, czyli do badań nad bronią atomową. Biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności prezydent Nixon obiecał zrobić wyjątek dla nas i rozluźnić owe embargo COCOMu. Słowa dotrzymał, o czym będę pisał w rozdziale o KSI.

Wizyta Nixona w Warszawie i rozpoczęta polityka odprężenia powinna była zmienić nastawienie wojskowych do Programu Rozwoju Informatyki, bowiem Pakt Warszawski przerwał przygotowania do inwazji Zachodniej Europy. Niestety raz otworzona „puszka Pandory” robiła nadal i nawet coraz większe spustoszenie w naszym Programie.

### Nowe zadania w 1972 r.

W 1972 r. nastąpiło odprężenie w stosunkach Wschód — Zachód, Polska gospodarka przerwała przestawianie na gospodarkę wojenną, jaką rozpoczął generał-premier Jaroszewicz w 1971 r. Gierek, który młodość spędził na Zachodzie ciążył do niego bardziej niż do Moskwy, z którą musiał liczyć się, by utrzymać się u władzy. Zaczął objeżdżać kolejne stolice Zachodniej Europy, w tym nawet Watykan, szukając pożyczek, obiecanych przez Nixona i Kissingera w Warszawie. Zresztą Gierek robił bardzo dobre wrażenie na swych gospodarzach. Przypuszczałnie lepsze niż na swoich obywatelach. Gierek najpierw jeździł z Katowic do Warszawy po pieniądze, a teraz zaczął jeździć z Warszawy na Zachód po to samo. Był przyzwyczajony do otrzymywania pieniędzy, bez których wiedział, że nie da się rządzić

W składzie jego delegacji zawsze znajdował się Tadeusz Wrzaszczyk, który w międzyczasie awansował na stanowisko przewodniczącego Komisji Planowania i wicepremiera a wkrótce nawet na członka Biura Politycznego. Wrzaszczyk jako minister Przemysłu Maszynowego, uruchomił z powodzeniem licencję na produkcję fiatów w Polsce, teraz już jako wicepremier zaczął kontraktować dalsze 500 licencji i pożyczki na nie. W sumie zadłużył nas na 30 miliardów dol.

Zadłużenie Polski na 30 miliardów było i pewnie jest nadal mocno krytykowane. Jednak uważam, że było bardzo korzystne dla Polski i to z dwóch powodów. Po pierwsze w 1972 r. nie było innej alternatywy dla nas jak zmodernizować polską technikę i gospodarkę przy pomocy zastrzyku zachodniej techniki. Po drugie, tak silny zastrzyk nowoczesności zabił pacjenta, czyli PRL i po 17 letnim konaniu doprowadził do narodzin III RP w 1989 r. Polityka Gierka i Wrzaszczyka była polską formą „*pierestrojki*”, która potem zastosował w latach 1980. sam Gorbaczow, dzięki czemu ZSRR rozpadł się. Oczywiście, za-

równy Gierek, Wrzaszczyk jak i Gorbaczow nie wiedzieli co robią, inaczej bowiem nie prowadziliby samobójczej polityki. Śmiem twierdzić, że Gierek, spętany więzami ścisłej współpracy z Zachodem, w praktyce stosował również „glasnost”. Przecież tolerował powstanie i działalność ROPCiO i KORu, które jednym skinieniem palca mógł zdławić, a nie zdławił. Dzięki temu pośrednio przyczynił się do powstania „Solidarności”. Należy przypomnieć, że w rokowaniach pożyczkowych, rozmówcy zachodni stawiali warunki zmierzające ku liberalizacji i poszanowaniu Praw Człowieka.

Z punktu widzenia teorii organizacji i zarządzania i interesów PRL Wrzaszczyk pokierował źle procesem zmodernizowania polskiej gospodarki, ponieważ skoncentrował w swoich rękach najważniejsze decyzje dotyczące wówczas 10. gospodarki świata, jaką rzekomo była Polska. Miał najlepsze chęci, większość współpracowników, może i słusznie, uważał za durniów, którzy nic nie potrafią, ale sam w pojedynkę nie miał szans. Praktyka wykazała, że nie słuchano centralnego planisty, „socjalistyczni menadżerowie” ubijali raczej własne niż interesy kraju w kontraktach z zachodnimi firmami, nabierając apetytu na jazdy mercedesami, bmw, czy lanciami. Rozpoczął się ruch wyjazdów na Zachód i budowy „dacz”. Mówiono wówczas, że „Bez daczy nic nie znaczysz”. Z punktu widzenia ówczesnych interesów PRL, polityka Gierka i Wrzaszczyka miałyby szansę na sukces, gdyby zaczęto prywatyzować gospodarkę i wprowadzić nawet niedemokratyczną gospodarkę rynkową, w ramach Dyktatury Partii. Nie jest to puste teoretyzowanie, bowiem taka politykę stosował Tito w Jugosławii, a obecnie stosują Chiny pod koniec XX w., które jednak dopiero po 1991 r. nauczyły się wiele po upadku ZSRR i chaosie w Rosji.

W latach 1970. jednak nie było klimatu na tak drastyczne rozwiązanie, Przecież jeszcze w 1971 r. Pakt Warszawski szykował się do inwazji Zachodniej Europy, trudno wyobrazić sobie, by w rok potem można było rozpocząć tak radykalne uzachodnienie polskiej gospodarki. W PRL nie było najmniejszych śladów głoszenia tego typu rozwiązań. Nawet analizy specjalistów z opozycyjnego grona prof. Edwarda Lipińskiego (który był wprawdzie z przekonania socjalistą) sprowadzały się do krytyki poszczególnych wskaźników gospodarki. W ZSRR panował Leonid Breżniew, który naśladował Stalina w budowie potęgi Sowietów i nie znał, a co za tym idzie, nie ufał zachodnim rozwiązaniom, więc by się na nie w Polsce nie zgodził.

Z perspektywy prawie 30 lat można powiedzieć, że nie należy krytykować Gierka i Wrzaszczyka, że ich polityka nie udała się, gdyż w ówczesnych warunkach nie mogła się udać. Gdyby udała się, to marazm PRL trwałby może do dzisiaj, a tak dzięki niej gospodarka centralnie planowana została poddana śmiertelnej dawce lekarstwa, którego nie przeżyła. Polskę kosztowało to 30 miliardów dol., ale uzyskany efekt jest tego wart. Bez zapłacenia owej ceny nie byłoby III RP.

Cena ta przypomina mi dyskusje w niektórych kręgach o koszcie przystąpienia Polski do NATO. Z tego tytułu Polska musi zmodernizować swe wojsko,



a przede wszystkim kadre oficerów i podoficerów, co ma wiele kosztować i „nie opłacać się”. Śmiem twierdzić, że po 350 latach upadku Polski, nie ma takiej ceny, jakiej by nie było warto zapłacić, abyśmy ponownie, my Polacy znaleźli się w obszarze zjednoczonego Zachodu i to pod jego obronnym parasolem.

Niepodległość Polski w 1989 r. nie spadła, ot tak z nieba, została wywalczona przez „Solidarność” za przyzwoleniem Gorbaczowa i miała miejsce już w konającej fazie PRL, ale proces wyzwalań się Polski z objęć Moskwy rozpoczął się właśnie w 1972 r. Śmierć PRL nastąpiła w wyniku „mamuciej choroby”, polegającej na takim skomplikowaniu organizmu gospodarczego, że jego mózg nie był w stanie kontrolować całości. Warto przypomnieć, że Polska już raz przeszła taki upadek, kiedy po Unii Lubelskiej w 1569 r. stała się terytorialnie największym państwem Europy. Uwikławszy się w ucywilizowanie Litwy-Rusi nie potrafiła zapanować nad całością państwa. Tym razem śmierć PRL wyszła na dobre Polsce, gdyż właśnie odcięła się od spadkobierców Rusi. Oby na dobre.

Odprężenie miało także wpływ na informatykę krajową. Minister Kaczmarek polecił KBI przyspieszenie realizacji Programu Rozwoju Informatyki (PRI). Zapewne takie polecenie otrzymał z dyskusji na Prezydium Rządu, gdzie pierwsze skrzypce grał oczywiście Tadeusz Wrzaszczyk. Dyskusja nad przyspieszonym programem odbyła się na majowym, pierwszym posiedzeniu Państwowej Rady Informatyki. Radę tę zorganizowało KBI jako uznanie dla środowiska informatyków, których apele w ten sposób zostały skanalizowane i zaadresowane do organów administracji państwowej. Pierwszym przewodniczącym Rady został Jan Kaczmarek a sekretarzem Zbigniew Gackowski. Oczywiście wszedłem i ja do tej Rady obok przedstawicieli przemysłu, ważniejszych resortów oraz wybitni informatycy *ad personam*.

Referat na posiedzenie Rady miało przygotować OBRI, ale dyr. Jan Bursche nic nie zrobił w tej sprawie, gdyż był sparaliżowany przez St. Bajkowskiego, stale jeszcze dyrektora naczelnego ZETO i jego liniowego zwierzchnika. Jak wiadomo Bajkowski sabotował poczynania KBI (któremu podlegał) i planował, że bez referatu KBI skompromituje się. W tej sytuacji minister Kaczmarek polecił mi opracowanie dokumentu — referatu. W rezultacie przedstawiłem program rozwoju Krajowego Systemu Informatycznego opartego na Infostradzie. Uważam dziś, że jest to mój największy dorobek, jaki wniosłem do rozwoju informatyki, *nota bene* później skopiowany w USA.

Przy opracowywaniu programu przyspieszenia realizacji PRI wyszedłem z założenia, że istota tego przyspieszenia nie leży w zwiększeniu liczby zainstalowanych komputerów, które były ok. 100 krotnie za drogie dla polskiego użytkownika w porównaniu do ceny płaconej przez zachodniego użytkownika. Na Zachodzie informatyka przynosiła oszczędności z powodu minimalizowania pracochłonności przetwarzania informacji, czyli zmniejszania biurokracji. W PRL siła robocza była za tania a komputery, za drogie, aby uzyskać podobne oszczędności. Na dobrą sprawę zainstalowanie kolejnego komputera wprowadzało nie postęp techniczny a regres ekonomiczny. Z podróży do USA w 1970 r. wy-

niosłem wrażenie, że często amerykańskie korporacje miały za dużo zainstalowanego sprzętu. Sprawę tę nawet przedyskutowałem podczas wizyty w *International Paper Corporation*, największym koncernie papierniczym w USA. Ponadto mieliśmy wtedy w Polsce tak małą liczbę komputerów (245), że zainstalowanie o kilka a nawet kilkanaście procent więcej maszyn nie zmniejszało naszego dystansu do Zachodu. Intuicyjnie czułem, że przy odpowiednim modelowaniu krajowych systemów informatycznych można więcej przetworzyć potrzebnej informacji gospodarczej na mniejszej liczbie komputerów niż na Zachodzie, zwłaszcza, że rozwój informatyki na Zachodzie był wówczas bardzo żywiołowy, a w Polsce przecież mieliśmy „przewagę” możliwości centralnego zaplanowania rozwiązania optymalnego.

W modelu KSI zostały uwzględnione wszystkie szczeble zarządzania gospodarką oraz państwem, ze szczeblem przedsiębiorstw włącznie. O ile model systemów informatycznych przedsiębiorstw był znany fachowcom, o tyle model systemów informatycznych wspomagających szczebel centralny i regionalny był pokazany po raz pierwszy w świecie. Model KSI był w istocie modelem kierowania państwem i w związku z tym był opisany językiem polityka gospodarczego a nie językiem specjalisty — informatyka, który zna się na językach programowania czy konstrukcji jednostki centralnej komputera. W związku z tym członkowie Rady, będący informatykami nie zrozumieli modelu KSI, a nawet model ten ich drażnił, bo mało wzmiankował na ich szczegółowe dyscypliny. W PRL panowała taka praktyka, że nie dyskutowano całościowych problemów kraju, tylko każdy załatwiał swoje partykularne interesy. Niestety praktyka ta przeniosła się nawet do III RP, gdzie każdy woła o podwyżki pensji, ale nie interesuje go skąd wziąć na to pieniądze

W dyskusji Rady nad modelem KSI najwartościowsza była wypowiedź prof. Krzysztofa Porwitta, z-cy dyrektora Instytutu Planowania przy Komisji Planowania. Profesor, bezpartyjny i w dodatku AK-owiec z Powstania Warszawskiego, miał na sercu wdrożenie reformy usprawniającej i łagodzącej reżim i w informatyce dostrzegał duże wsparcie dla niej. Kulesza i Janicki szykowali się do zaatakowania opracowania, ale powstrzymał ich Huk, który myślę, że był na tyle inteligentnym działaczem gospodarczym, iż zrozumiał istotę KSI i nie był pewien czy czasem krytyką tego opracowania dyrektorzy MERY nie podłożą się w dyskusji. Koreferent referatu — Antoni Bossowski, dyrektor Centrum Obliczeniowego MSW pozytywnie ocenił opracowanie. W celu dopracowania dokumentu Kaczmarek powołał komisję Rady, do której obok Gackowskiego i mnie weszli m.in. Kulesza i Janicki. Niestety jak łatwo było przewidzieć, nie pojawili się oni ani razu na posiedzeniu komisji.

Dopracowany dokument liczył prawie 100 stron; w związku z tym opracowaliśmy jego streszczenie. W opracowaniu dokumentu pomógł bardzo sam Kaczmarek, który jako nowy minister Nauki miał ogrom zajęć, a pomimo to poświęcał tej sprawie bardzo dużo czasu, pracując za kilku informatyków-członków Rady, którzy w praktyce ją także sabotowali. Ulepszony dokument zostaje oceniony



przez grupę ekspertów pod kierunkiem prof. Straszaka, który odmówił spotkania z głównymi autorami opracowania, czyli z Gackowskim i ze mną. Jak łatwo było przewidzieć, eksperci stwierdzili, że w opracowaniu „nic nie ma”. Ocenę wraz ze streszczeniem, ale bez zasadniczego dokumentu rozesłali do wszystkich możliwych odbiorców, aby nadać sprawie rozgłos. Na jednym ze spotkań, Straszak mówi, że kto chce zapoznać się z zasadniczym dokumentem, to może go znaleźć na oknie w korytarzu.

Po tak napastliwej ocenie, zostaje powołana nowa grupa wnioskowa w składzie Jan Kaczmarek, Tadeusz Madej, kierownik Wydziału Ekonomicznego KC i Jan Rychlewski, z-ca kierownika Wydziału Nauki KC. Komisja w tak wysokim składzie skupiła uwagę tylko na potrzebie szkolenia użytkowników. Był to wniosek bardzo aktualny w każdej sytuacji, nawet i po 30 latach w III RP trzeba ciągle szkolić użytkowników. Całe zadanie przyspieszenia realizacji PRI zostało sprowadzone do akcji szkoleniowej, czyli w praktyce zmarnowało szansę na jego przyspieszenie. Władze są zdezorientowane sytuacją w informatyce i na wszelki wypadek powołują Komisję Partyjno-Rządową pod kierownictwem wicepremiera Mieczysława Jagielskiego, która to komisja rozłoży informatykę na dobre.

Myliłby się ten, kto uważa, że przyhamowanie rozwoju informatyki przez tę Komisję wynikało z jej niefachowości i typowej komisyjnej bezradności. Wręcz przeciwnie, Komisja wykazała wiele partyjnej czujności i zabroniła informatykom wtrącać się w sprawy kierowania państwem, zastrzeżone dla Partii. W materiale Komisji znalazło się nawet takie stwierdzenie, że „dotychczasowy rozwój informatyki nie wspiera socjalistycznego modelu gospodarki”. Kto zna kod ówczesnej nowo-mowy, ten wie, że stwierdzenie to należy czytać odwrotnie. Model KSI wspierał ustrój centralnie planowanej gospodarki i na tym polegał jego błąd, bowiem zaczął dobierać się do niekontrolowanych decyzji centralnych planistów. Szczegółowe omówienie KSI znajduje się w następnym rozdziale, z którego wynika na czym to polegało.

Prócz oficjalnej oceny KSI opracowanej przez prof. Straszaka musiała na pewno istnieć także i nieoficjalna opinia, tego bardzo wysoko ustawionego aparacza KC i jego pomocnika prof. Juliusza Kulikowskiego, który doradzał Józefowi Kępie, I sekretarzowi Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Warszawie, znanemu przedstawicielowi tzw. „betonu partyjnego”. W Dyktaturze PRL najcenniejszym surowcem był nie dolar a prawdziwa informacja. Społeczeństwo nie знаło tej prawdziwej informacji o swym i gospodarki stanie, podlegało ustawicznej manipulacji informacjami przez Partię. Bank Światowy otrzymywał prawdziwą informację o gospodarce od polskich władz, ale społeczeństwo nie znało tej informacji a Bank Światowy, wiadomo, że nie przekazywał jej społeczeństwu. W takiej sytuacji kiedy KSI, który miał na celu zobiekttywizowanie i zrestrukturyzowanie formalne przepływu informacji w Polsce, był dla Dyktatury „koniem trojańskim”, zbyt niebezpiecznym, aby pozwolić mu na bezkarne galopowanie po PRL z tak podejrzanymi typami w siodle jak „Targowski i Bratkowski”. Byłoby błędem myśleć, że Straszak był tak nierozgarnięty na jakiego

wyglądał. Człowiek tego typu nie umiał wymyślić prochu, ale wiedział jak zepsuć strzelbę. Ponadto do pomocy miał J. Kulikowskiego, któremu nie można odmówić inteligencji, zwłaszcza tej „proletariackiej” czujności, jaką ćwiczył od 23 roku życia.

Wspomniana Komisja nie działała szybko, lecz doprowadziła do rozwiązania KBI i utworzenia w 1976 r. Komitetu Informatyki pod przewodnictwem premiera Piotra Jaroszewicza; krytyka jego osoby nie byłaby już tolerowana. W tak oto zręczny sposób uciszono pierwszych liderów informatyki gospodarczej. Pomimo, że nade mną już wisiał miecz Damoklesa, działałem jeszcze siłą rozpędu do połowy 1974 r., a praktycznie do końca 1973 r., bowiem w pierwszej połowie 1974 r. przychodziłem jeszcze do biura KBI, ale już korespondencja przestała mi być przydzielana, przez bardzo taktownego, do ostatnich moich dni, Zbigniewa Gackowskiego. Widocznie takie miał polecenie.

### Inne działania w 1972 r.

W KBI nie zwracaliśmy za dużo wagi na omawiane konflikty w środowisku informatyki. Byliśmy zaangażowani w inicjowanie i popychanie licznych projektów systemów zastosowań. Do jednych z nich zaliczał się projekt CYFRO-NET w ramach, którego planowaliśmy zakup superkomputera dla polskiej nauki oraz projekt Powszechnego Systemu Ewidencji Ludności — PESEL. Projekty te wchodziły do KSI, w związku z tym piszę o nich w następnym rozdziale.

Tutaj tylko wspomnę, że w ramach pierwszego projektu wyjechałem, z prof. Romanem Żelaznym z Instytutu Badań Jądrowych w Świerku do Francji, aby zapoznać się z szeroko reklamowanym komputerem Irys 60, który jednak zawiodł nasze oczekiwania. Podróż tylko nas utwierdziła, że musimy sprowadzić amerykański komputer.

W ramach projektu PESEL wyjechałem do Stanów Zjednoczonych, aby przeprowadzić rekonesans, co do wyposażenia tego systemu. Był to już mój drugi wyjazd do tego kraju, wskutek czego czułem się pewniej wśród członków delegacji złożonej z pracowników Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, którzy nie wyjeżdżali nawet do Zachodniej Europy. Szefem delegacji był płk Zygmunt Orłowski, pełnomocnik Ministra Spraw Wewnętrznych d/s PESEL. Kierowałem wówczas projektem WEKTOR dla kontroli inwestycji i Orłowski liczył na moje doświadczenie. Zetknięcie się z tym człowiekiem było potem dla mnie utrapieniem. Gdyby nie to, że obaj mieliśmy poczucie humoru, nasza współpraca byłaby koszmarem, przynajmniej dla mnie. Dla Pułkownika też nie była lekka, ponieważ mu „nie oszczędzałem” różnych przyczynków w rodzaju: „Jest Pan chyba najbardziej gorliwym synem tego osławionego resortu”. Sprytniejszy od lisa Orłowski wiedział, że nie był to komplement. Piszę o tym w rozdziale o KSI.

Będąc w Nowym Yorku odwiedziłem Gordona Smitha, mojego znajomego informatyka z Genewy. Smith jako sekretarz wykonawczy *Association for Computer Machinery (ACM)* miał duże wpływy i kontakty. Poznał mnie z kilkoma